
[Pamiętnik inż. Tadeusza Krzechowskiego]

Nasze Korzenie 6, 106-109

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Słowo wstępne

W 1986 roku do Działu Historii Muzeum Mazowieckiego w Płocku trafił maszynopis pamiętnika z okresu drugiej wojny światowej, autorstwa inż. Tadeusza Krzechowskiego. Pan Tadeusz przyniósł go osobiście i złożył na ręce ówczesnej kierowniczkii działu – Bożenney Ostrowskiej. Dziś po blisko trzydziestu latach od tego faktu, sięgamy po ten wzruszający i zarazem wstrząsający dokument, aby dać świadectwo dni, które pamięta już tylko najstarsze pokolenie Polaków.

W słowie wstępnym do pamiętnika autor umieścił wzmiankę usprawiedliwiającą opóźnienie, z jakim spisał swoje wspomnienia. Spowodowały je represje, jakich doznał od władzy „ludowej”, i przymusowe milczenie w obawie o życie swoje i swoich bliskich. Zaraz po wyzwoleniu, w 1945 roku, tak jak większość naszych rodaków, przystąpił do odbudowy kraju. Jego zapał do pracy został brutalnie zgaszony przez aresztowanie dokonane przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa na początku grudnia 1948 roku. W wyniku sfingowanych procesów został skazany na 6 lat więzienia. W drodze amnestii zwolniono go w kwietniu 1951 roku, a następnie całkowicie zrehabilitowano w roku 1958. Po wyjściu na wolność i uzupełnieniu wykształcenia na Politechnice Warszawskiej, aż do przejścia na emeryturę w 1971 roku, związał się z budownictwem, m.in. poprzez Płockie Terenowe Przedsiębiorstwo Budowlane. W ostatnich latach swego życia wiele wysiłku i zaangażowania włożył w budowę kościoła św. Stanisława Kostki w Płocku, będąc kierownikiem budowy.

W okresie okupacji Tadeusz Krzechowski ps. „Kres”, „Prawdzic”, „Zew” pełnił funkcję szefa referatu informacji i propagandy w Okręgu Płockim Polskiej Organizacji Zbrojnej. Po zjednoczeniu organizacji konspiracyjnych w 1942 roku funkcję tę pełnił w Inspektoracie Płocko-Sierpeckim AK. W 1944 roku został zastępcą komendanta Obwodu AK Płock.

Pamiętnik inż. Tadeusza Krzechowskiego cz. 1.

Niniejszym przekazuję do Muzeum Mazowieckiego na wieczną pamiątkę pamiętnik z moich osobistych, tragicznych przeżyć w latach okupacji hitlerowskiej 1939-1945.

[...] Napisałem go dopiero teraz, po tylu latach od tamtych zdarzeń, ponieważ i lata powojenne brzemiennie również były w Niemniej liczne i tragiczne przeżycia.

Posługując się wyłącznie tylko pamięcią – snuję opowieść tak, jak odtwarza mi je pamięć. [...] Uważam, że moim obywatelskim obowiązkiem jest tak utrwalone fakty uratować od zapomnienia dla następnych pokoleń. Uprzejmie więc proszę przechowywać ten pamiętnik godnie i z poszanowaniem.

inż. Tadeusz Krzechowski

Tragiczny wrzesień 1939 roku zastał mnie na stanowisku komendanta obrony biernej dwóch mostów na rzece Wiśle w Płocku – z załogą 32 wykwalifikowanych cieśli mostowych.

Dowodziłem obroną mostów do czasu wycofania się naszych wojsk po przegranej bitwie pod Mławą. Po przejściu wojsk spod Mławy przez mosty w Płocku i pospiesznym okopaniu się na przedpolach Płock-Radziwie, po krótkiej walce mosty zostały przez nas wysadzone w powietrze, a wojsko polskie koncentrowało się w Sochaczewie, tworząc następny front obronny przeciwko hitlerowskiemu napastnikowi na Polskę, mimo podpisanego z Niemcami układu o nieagresji.¹

Dla wyjaśnienia podaję, że w Płocku na Wiśle były przed wojną dwa mosty łączące Płock z Radziwem. Starszy, pobudowany w 1915 roku, był mostem o filarach i izbicach drewnianych i noszonych przęsłach stalowych. [...] Drugi most, stalowy, pobudowany został w 1937 roku. W 1938 roku jeszcze uzupełniono niedoróbki. Uroczyste otwarcie mostu miało miejsce 11 września 1938 roku.

Po ich wysadzeniu ewakuowałem się z żoną Teodozją i małym, trzyletnim synem do Gostynina, 25 kilometrów od Płocka, do szwagrostwa Janiny i Jana Majerów, zam. plac Wolności 8, nad ich apteką na 1. piętrze.

Gostynin wówczas, w pierwszych dniach września 1939 roku, był przepelniony uciekinierami polskimi, rodzinami aż z Poznańskiego, a nawet od granicy zachodniej Rzeczypospolitej z Niemcami. Całe masy uciekinierów, często z częściowym dobytkiem, rozlokowały się po domach Gostynina lub w panicznym zdenerwowaniu powędrowały w głąb kraju, a plac Wolności w Gostyninie pozostał pusty bez żadnej widocznej istoty ludzkiej.

Wyglądaliśmy ostrożnie przez firanki, kiedy pojawi się pierwszy żołnierz Wehrmachtu, bo tempo agresji zmechanizowanej armii Hitlera było błyskawiczne. Patrząc przez okno na plac opustoszały, rozważałem poprzednią, pierwszą wojnę światową i jej skutki. Wyobraźnię widziałem ówczesne obozy internowanych Polaków za drutami – dumnych obrońców Ojczyzny. Myślałem, że w najgorszym wypadku, teraz dźwigając ponownie niewolniczy los Ojczyzny, historia internowania wojska polskiego powtórzy się. O „postępowej sztuce wojennej” faszystów niemieckiego, wyniszczenia Polaków w obozach koncentracyjnych, krematoriach i komorach gazowych, nie mieliśmy pojęcia. Ludobójstwo było nam obce. Jeńcy wojenni mieli zagwarantowane swoje międzynarodowe prawa.

A tu rzeczywistość hitlerowska niosła nam z dnia na dzień masowe mordy zbrodnicze wszystkich Polaków, od dziecka do starca. Plan Hitlera tolerowany bez buntu i sprzeciwu, wykonywany był konsekwentnie według *Mein Kampf*.

I tak po jednej (o ile pamiętam) przemęczonej nocy u szwagrostwa – stojąc w oknie – zobaczyłem wczesnym rankiem Niemca w mundurze, w hełmie, z automatem gotowym do strzału, wkra-

1. Autor ma na myśli deklarację polsko-niemiecką o niestosowaniu przemocy, zwaną też deklaracją o nieagresji. Podpisano ją 26 I 1934 w Berlinie [wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].

czającego na plac w Gostyninie od strony Łaniąt (miejsce urodzenia mojego Ojca).

W kilka chwil, gdy pierwszy wehrmachtowiec rozglądając się po oknach domów okrążył plac, pojawiło się już trzech pieszych uzbrojonych Niemców zdążających wolnym krokiem za pierwszym. Z kolei, gdy czterej piesi żołnierze rozstawili się wokół placu, to wjechał już z warkotem silnika motocykl z przyczepą i dwoma wehrmachtowcami uzbrojonymi i gotowym do strzału erkaemem. I już bez przerwy jechało kilka samochodów ciężarowych z siedzącymi w nich rzędami uzbrojonymi i w hełmach wehrmachtowcami, którzy w pośpiechu wysiedli i rozbiegli się po domach Gostynina waląc kolbami do mieszkań, aby wszyscy mężczyźni w wieku od 16 do 65 lat niezwłocznie zgromadzili się na placu. A ponadto rozplakowali afisze, „Bekanntmachung”, w tej samej sprawie, z groźbą, że o ile rewizje wykryją mężczyzn ukrytych, to będą oni rozstrzelani.

Dochodziło już południe, a duży plac zapełnił się tłumem mężczyzn, w których wycelowano rozstawione wokół placu karabiny maszynowe.

Ja ze szwagrem, w pośpiechu nakarmieni przez żonę i jej siostrę Janeczkę, objuczeni plecakami zrobionymi z worków na sznurkach, napełnionymi jedzeniem i przyborami toaletowymi, stanęliśmy w tłumie na placu.

Tłum składał się z Żydów i Polaków. Ustawieni w szesnastki w rzędach, klusem zostaliśmy wpędzeni do pobliskiego kościoła i zamknięci. Podaję tu do godnej i dumnej pamięci, że Polacy wierzący, a więc prawie wszyscy, zaprosili Żydów, aby usiedli w ławkach po obu stronach środkowej nawy, jako nasi goście w Świątyni Pańskiej. A my stłoczeni, prawie jeden przy drugim, staliśmy i tylko niektórym, już starszym, udało się przysiąść na stopniach kilku bocznych ołtarzy. W Tabernakulum w głównym ołtarzu był Przenajświętszy Sakrament i paliła się na znak lampka. Gdy tak się załadowaliśmy, Niemiec w mundurze, w czapce i z cygarem w zębach, usiadł na ołtarzu, tyłem do Przenajświętszego Sakramentu, powtarzam: w czapie i palącym się w ustach cygarem. Przemówił łamaną polszczyzną: *Polski już ni ma i nie będzie. U noju je praca i pieniądze duza*. Ktoś krzyknął z tłumu: *Niech żyje!*, ktoś odkrzyknął: *Hańba*. I liczne gwizdy... Lecz godność wśród nas przeważała – uspokoiło się. Zaczęliśmy domagać się wyprowadzenia nas do ubikacji. Ten sam pewnie zniemczony „Polok” powiedział: *Zalatwiająta się pod chórem przy głównym wejściu do kościoła*.

I tak po siedmiu dobach bytowania w zimnie kościoła, kał z moczem rozplynęły się po kościele, a my stojąc w tłoku lub z trudem przeciskając się – nie śpiąc i już niektórzy chorując – dzieliśmy się na zmianę między słabszych stopniami przy ołtarzach, aby się zdrzemnąć lub „nabrać siły” w nogach. Żydzi ustępowali miejsc w ławkach.

Wspiąłem się wewnątrz nad chórem na wieżę kościelną i poprzez szpary pokrycia widziałem tłum matek, żon i sióstr zgromadzonych przy furtce żelaznego ogrodzenia wokół kościoła – domagających się od volksdeutscheów w żółtych mundurach z czerwonymi opaskami z czarną swastyką, dostarczenia nam żywności. Paczki, koszyki i koszyczki były na polecenie „żółtków” zaopatrzone w kartki z nazwiskami odbiorców, a nasze kobiety z uznaniem kiwa-

ły głowami, że każdy otrzyma własną paczkę – *Ordnung*? A tymczasem Niemiec rzucał nam na głowy przesyłki i my zgłodnieli chwytałyśmy, aby coś połknąć z jedzenia. Dopiero jeden z nas krzyknął, że my nie bydlę i sami zrobiliśmy szpaler przez kościół, podchodziliśmy do głównego ołtarza i od Niemca odbieraliśmy paczki.

Pewnego dnia Niemiec wywołał nazwisko Polaka, ten szybko zgłosił się. Po jego wyjściu usłyszeliśmy strzał. Od tej chwili staliśmy się bezimienni.

Po siedmiu dniach rano kazano nam wyjść wszystkim mężczyznom nie zamieszkałym w Gostyninie i natychmiast, do wieczora, wywedrować z Gostynina. I kara śmierci tym, których obecność wykryje nocna rewizja. Oczywiście wszyscy w pośpiechu opuszczali Gostynin. Ja z żoną i synkiem powędrowaliśmy do Płocka. Przeprowa przez Wisłę odbywała się promem i na łodziach obok zwalonych mostów.

Pozostawione bez opieki mieszkanie zastaliśmy okradzione tylko ze skarpet i mego przedwojennego odznaczenia za budowę lotniska w Płocku. Po nocy zebrano nas, urzędników na sali w starostwie (obecnie gmach Urzędu Wojewódzkiego w Płocku przy ul. Kolegialnej) i polecono niezwłocznie wszystkim Polakom stawić się w dotychczasowych miejscach pracy. Zastaliśmy już niemieckich kierowników (nie zawsze fachowych w przydzielonych im dziedzinach, do kierowania w pracy Polakami). Spieszyli się opanować urzędy w Płocku Niemcami, aby nas poddać dominacji Gestapo. Do rozpoznania naszej przeszłości używali podłych zdradzieckich volksdeutscheów – wykarmionych przez nas na polskim chlebie.

Od tego momentu zaczyna się szalencze, zbrodnicze działanie Gestapo. Jest to jeszcze 1939 rok. W Płocku zaczęły się aresztowania ważniejszych polskich osobistości na podstawie donosów na kartkach z nazwiskami, adresami, funkcjami i ewentualną przynależnością związkową i w organizacjach: Związku Zachodniego (była to organizacja ujawniająca podłości i zbrodnie niemieckie przeciw Polsce – za taką przynależność skazywano na natychmiastowe rozstrzelanie), LOPP (Liga Obrony Powietrznej Państwa), BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem) itd. Kartki te spisywali volksdeutsche-szpicle i doręczali gestapowcom, a ci nie zwlekali, torturowali usiłując „rozbroić” i załamać ducha Polaków, tak bardzo miłujących swoją od niedawna wolną, przywróconą do istnienia z niewoli rozbiorów Polską Ojczyznę!

W dniu 26 czerwca 1930 roku otrzymałem świadectwo nr 174 z ukończenia 5-letniej Państwowej Średniej Szkoły Technicznej Kolejowej w Radomiu – szkoły o wysokim poziomie 32 przedmiotów – na Wydziale Drogowo-Budowlanym, z pełnym zakresem wiedzy technicznej: budowy dróg i mostów oraz obiektów budownictwa ogólnego lądowego, z tytułem technika drogowo-budowlanego. I do 1939 roku odbyłem szereg praktyk drogowo-budowlanych na budowach: dróg, mostów drewnianych z izbicami w Płocku i Wyszogrodzie oraz gmachu Sejmiku Powiatowego w Radomiu (posiadam zdjęcia fotograficzne). Awansowałem: od technika praktykanta, przez brygadzystę, zastępcę kierownika, do kierownika budowy. Majster – poznaniak – Polowczyk, ugruntował moją wiedzę kierowania załogą. Stałem się pełnoprawnym fachowcem w budownictwie. Później ta wiedza służyła mi w uzyskaniu stopnia inżyniera

na Politechnice Warszawskiej. Poza tym odbyłem długie studia pomiarowe drogowo-mostowe w Radomskim, operując instrumentami pomiarowymi: teodolitem w mierzeniu kątów projektowanej trasy drogowej i niwelatorem w niwelacji projektowanej trasy Radom – Przytyk, długości 12 kilometrów.

Wspominam o tym celowo, bo danym mi było świadczyć o dobrym poziomie wiedzy technicznej wyniesionej z polskiej szkoły przed ironicznym w stosunku do mnie – technika Polaka – technikiem Niemcem, Reichsdeutschem² z Landesbauamt³ w Płocku przy ulicy Sienkiewicza. Usiłował on dworować ze mnie i ironicznie egzaminować z instrumentów pomiarowych – teodolitu i niwelatora ustawionych przed gmachem urzędu, wobec gawiedzi niemieckiej, aby mnie poniżyć, a polską szkołę zdyskwalifikować. I oto ja zwycięsko z tych operacji wyszedłem i dobrze świadczyłem o mojej Ojczyźnie i szkole! A niemiecki technik odszedł z uśmiechem, ze schyloną głową. Przy tym trzeba pamiętać, że nas Niemcy usiłowali w podstawówce nauczyć tylko czytać i pisać po niemiecku, a w rachunkach tylko przyswoić cztery działania z arytmetyki. I od tej chwili w Landesbauamt nabrano do mnie respektu, przy życzliwości starszego już wiekiem inżyniera Thiele, Reichsdeutscha, mówiącego nieźle po polsku, i kierowcy szefa, Baurata, Niemca, mówiącego też po polsku.

W jesieni 1939 roku mieszkam z rodziną jeszcze we własnym domku przy ulicy Jachowicza 26a, pobudowanym w 1937 roku. Wczesnym rankiem budzi nas mocne stukanie w drzwi od strony kuchni. Wchodzi dwóch umundurowanych oficerów, gestapowców z volksdeutschem (znanym nam podłym zdrajcą) Astem, jako tłumaczem. Teściowa, żona Tosia, synek Januszek i ja zdenerwowani.

My do Krzeszowskiego Tadeusza (nazwiska mego nie mogą prawidłowo wymówić). Wychodzę z łóżka w piżamie. Stoją przy drzwiach w kuchni i do pokoju nie chcą wejść. *Sprechen Sie Deutsch?* – pyta mnie gestapowiec. Odpowiadam po polsku: *Nie, nie umiem. Nie umie, nie umie* – przedrzeźnia. *Mus lehren!* Nic nie odpowiadam. Ast po polsku: *Ubrać się i iść z nami*. Teściowa biedactwo pyta: *Czy można zięcia nakarmić?* Ast tłumaczy gestapowcom. Odpowiada: *Jawohl, bitte essen!* Czekają stojąc przy drzwiach dłuższy czas. Wychodzę ubrany, nakarmiony, objuczony plecakiem z worka z Gostynina i z futrem na ramionach, choć nie jest zimno, bo troskliwa rodzina nie wie, czy wróć. A w Płocku przecież masowo aresztują.

Wpuszczony przez żelazną dużą bramę na podwórze więzienne przy ulicy Sienkiewicza, słyszę głośny dźwięk zamykanej bramy. Widzę dużą grupę pań ustawionych w dwuszereg tyłem do bramy, a twarzami na ścianę gmachu więziennego. A o kilkanaście kroków od pań, równoległe do nich są ustawieni w dwurzędzie mężczyźni twarzami do pań – też duża grupa (sporo znajomych).

Po dołączeniu mnie do dwuszeregu mężczyzn, brama co chwilę trzaska otwierana, bo gestapowcy w pocie czoła kursują z miasta z aresztowanymi obojga płci. Wokół pań krążą gestapowcy z pisto-

letami na ramionach i wolnymi rękami głaszczą, co młodsze panie po twarzach, a czasem ręce gestapowca podnoszą i sukienkę! I oto my Polacy mężczyźni stajemy w obronie godności pań. Chóralny nasz głośny sprzeciw, oburzenie! Na to gestapowcy szturchańcami zepchnęli nas do ściany budynku więziennego i „w tył zwrot”, „nosy w ścianę”. Bez obejrzenia się pań nie widzimy. Ale w trosce o ich los podglądamy i stwierdzamy, że łobuzerka gestapowców wobec Polek ustąpiła. Spod ściany więziennej wszystkich mężczyzn wpędzono na korytarz parterowy tego budynku, przy którym staliśmy z „nosami w ścianę”. Polki pozostawiono jeszcze na podwórzu. Ustawiono nas w kolejce pod lewą ścianą korytarza (w kierunku ruchu) i rozpoczęto przesłuchiwanie, w pokoju położonym też z lewej strony tego korytarza o godzinie 8. Ja byłem w połowie kolejki. Każdego przesłuchanego z krzykiem przez otwierane drzwi i kolbą w plecy wartownik wypędzał i ustawiał z lewej strony od tych drzwi wejściowych w końcu korytarza. Innych wypędzał na prawo w drugi koniec korytarza, który był blisko głównych drzwi wejściowych z podwórza. A my z kolejki urywkami pytań dowiadywaliśmy się, że szykanują i konfiskują papierosy z plecaków, jeżeli ma się zbyt dużo. To samo było z rażącymi zapasami jedzenia itp. Głównie chodziło o pretekst uderzenia po twarzy „Polnische Schweine” lub uderzenia „bykiem” pod brodą przez przesłuchującego po polsku Asta, siedzącego na stole tyłem do piszącej na maszynie wydobyte z przesłuchiwane go zeznania. A po bokach stołu siedzieli po jednym dwaj umundurowani oficerowie gestapowcy – dyktujący ostateczną decyzję w języku niemieckim, umownymi symbolami, do protokołu. Stojąc pod ścianą nie rozszyfrowaliśmy, gdzie lepiej znaleźć się po przesłuchaniu, z lewej czy prawej strony drzwi wejściowych. Z lewej strony grupowano księży i mniejszą grupę innych mężczyzn.

Nadeszła przerwa obiadowa dla gestapowców, nie dla nas, o godzinie 12 do 14. A nas „zabawiano” uderzeniem kolbą karabinu w bok, by się wsunąć w ścianę, bo chodzącym wartownikom przy nas jest zbyt ciasno. Ponadto ja upłyniłem innym współtowarzyszom niedoli nadmiar papierosów, a inni też nadmiary rozdali tym, którzy mieli mniej zapasów. Pora obiadowa zastała mnie o kilka osób przede mną do przesłuchania. Robię więc w myślach porządek, bo przecież jestem członkiem Zarządu Związku Zachodniego z panią „Dzidzią” sędziwą i jej mężem sędzią Zielińskim (za co grozi mi kara śmierci). Przecież po mnie przyszli gestapowcy z Astem z kartką, więc muszą o tym wiedzieć. Byłem też instruktorem i wykładowcą oraz członkiem LOPP w OPL biernej, w BBWR itd.

No cóż – w religii do tego czasu prawie byłem z zgodzie z Bogiem, więc powiedziałem sobie: wola Boska! Ale z nerwami trudno było mi się uporać. Jeszcze przed obiadem przeszedł obok nas, tym samym korytarzem technik Niemiec z Landesbauamt, który usiłował kpić z mojej wiedzy technicznej, gdy zostałem zatrudniony w tym urzędzie.

I tak dożyłem do zeznania. Brani po dwóch, przede mną wszedł znajomy z Akcji Katolickiej i ja drugi za nim. Mnie postawiono w rogu pokoju, a on wzięty za kłapy ubrania przez Asta siedzącego na stole, został przyciągnięty przez niego i uderzony „bykiem” pod brodę. I drugi raz tak uderzony za zbyt wolne wyrzucanie zawarto-

2. Reichsdeutsch – Niemiec z Rzeszy osiedlony na ziemiach okupowanych.

3. Landesbauamt – Krajowy Urząd ds. Budownictwa.

ści z plecaka na podłogę. Głośno pytany, czy należał do Akcji Katolickiej, LOPP, BBWR, Związku Zachodniego, LMK (Ligi Morskiej i Kolonialnej), odpowiadał: należałem, należałem, należałem. A maszynistka wszystko zapisała w protokole. Finisz był taki, że uderzono kolbą karabinu w plecy, z krzykiem dosłownie został wykopany przez drzwi na korytarz. Oczywiście wywieziony z Płocka do obozu, gdzie został zamordowany.

Z kolei ja przywołany, aby uniknąć uderzenia „bykiem”, momentalnie wyrzuciłem z worka-plecaka zawartość na podłogę. I za taką „samowolę” również dostałem „bykiem” pod brodę. I w tej chwili zostałem doksztalony przez „nadludzi”. Pytany o przynależność do Związku Zachodniego, LMK, LOPP itd., odpowiadałem: domy budowałem, drogi budowałem, mosty budowałem. A tu spokój i cisza!!! Zapytuje gestapowiec Asta: *Was sagt?* – *Co on mówi?* On mówi: *Wohnung bau, Straßen bau, Brücken bau. Ach so* – odpowiada gestapowiec, *das ist Fachman*. I decyzja: *Nach Hause – do domu!* O Boże! Dziękuję Ci!!! Już nie poszturchiwany kolbą wartownika, lecz spokojnie ponaglany przez niego „schnell, schnell”, wychodzę. Mijając braci i siostry – Polaków, słyszę od nich pytania: *No i co?* Mówię, że do domu. A tu od nich westchnienie: *Jaki pan szczęśliwy!*

Szczęśliwy?! Przychodzi refleksja – szczęśliwy...? O Boże! To przecież ja gorszy od moich Braci?! Zasmucony wewnętrznie – analizuję: pewnie na kartce u Asta nie było wiele prawdy o mnie, bo gdyby była wypisana, a szczególnie przynależność do Związku Zachodniego, to moja fachowość też by nie uratowała mego życia!

I tak do dzisiaj pozostałem w takim przekonaniu, dalsze wypadki potwierdzają to. Dopiero po dłuższym czasie „uzbierali” dane o mojej osobie, kiedy to nastąpiła blokada mego mieszkania i urządzono w nim przez Gestapo tak zwany „kocioł” – zasadzka na moją osobę.

Ale uważam, że Bóg jeszcze chciał inaczej, może byłem Jemu potrzebny do innych celów, a może trzeba było nadal „likwidować” we mnie pychę i zadufanie w sobie?

Wypuszczony z więzienia przez strażnika, musiałem napastującą mnie jakąś biedną panią – czy nie widziałem jej syna? – oddalić od siebie mówiąc, że jestem śledzony. Doczłapałem się jakoś do niedalekiego domku naszego z nieznośnym na ramionach ciężarem futra i omdlały opadłem na leżankę, aby mi krew z nóg wróciła do głowy, mniej zajęty witaniem rodziny.

Patrzę przez oszklone otwarte drzwi na werandę i o zgrozo widzę, że idą znów gestapowcy i to ci sami, którzy przed kilku kwadransami w więzieniu mnie przesłuchiwali razem z przybyłym też Astem. Mówię im o tym, a oni się śmieją i na nowo spisują moje personalia, ilość członków rodziny. I na oszklonych drzwiach werandy przyklepiają przyniesiony już gotowy nakaz rekwizycji całej posesji. Do jutra wieczorem ma nas już tu nie być. Możemy zabrać wszystkie meble, tylko na strychu zostawić dziecinne łóżeczko i miedziany hydropułt, który z LOPP schowałem. W tej tragedii odzyskiwałem nieco odwagi i stanowczością wytargowałem tydzień na szukanie mieszkania i przeprowadzkę. Ale najgorzej mnie upokorzyli tym, że osobiście musiałem odnieść klucz od mieszkania do siedziby Gestapo, wówczas mieszczącego się w Gimnazjum Żydowskim przy ulicy Kolegialnej. I tak nie rozwodząc się, zamieszkaliśmy począt-

kowo na drugim piętrze trzypokojowego mieszkania w domu żydowskim, własność Pantofla, nr 14 Nowy Rynek w Płocku. Lecz niedługo zostaliśmy wyrzuceni przez przybyłych do Płocka Niemców litewskich na poddasze IV piętra.

U pracodawców Landesbauamtu alarmowo nakazano mi natychmiast pojechać na rowerze do Bodzanowa – 25 kilometrów od Płocka – i odbudować zavalony, w dniu mego przesłuchania w więzieniu, przyczółek drewnianego mostu. Nakazano mi przy wręczaniu specjalnego pisma-przepustki polecającego odbudowę, abym nie politykował – *Nicht politick Krzeszowski, muß arbeit* – lecz pracował.

I oto otrzeźwiono mnie tym powiedzeniem! „Pozbierałem się w sobie” i postanowiłem nie Niemcom, lecz dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały bić się z Niemcami w KONSPIRACJI o Wolność Polski!!! – każdy krok analizując z zaufanym przyjacielem harcmistrzem, Jankiem Laszkiewiczem, aby jak najdłużej być nieuchwytnym, budując podziemną siłą Polski w Polskiej Organizacji Zbrojnej – POZ – AK. Abym tak mógł czynić szczęśliwie, Bóg mi chyba układał dalszy los.

Przez krótki czas (tydzień albo dwa, nie pamiętam) nakazano mi pracować w Landesbauamt razem z innymi inżynierami i technicami niemieckimi w biurze, w kreślarni ich projektów budowlanych. Moim pierwszym zwierzchnikiem mianowano Roodata, Niemca Reichsdeutscha, który samotny, bez rodziny najął pokój w Płocku i „urzędując nade mną”, okazał się pijakiem, babiarzem, absolutnym ignorantem w sprawach techniczno-budowlanych. Co gorsza, w dzień jeszcze niezupełnie trzeźwy, po pijackich nocach, zaczął mi grozić powieszeniem, o ile bezpłatną szarwarkową robocizną większą, natychmiast nie usunę na drogach powstałych zasp śnieżnych i nie przywrócę wstrzymanego ruchu na drogach. Mając oparcie w mówiącym po polsku Reichsdeutschu, kierowcy Baurata (inżyniera szefa Landesbauamtu), wyżaliłem się jemu na Roodata i osiągnąłem niezwłoczne wywiezienie go z Płocka. Moim szefem został mianowany z kolei Kranz, Reichsdeutsch, zdemobilizowany z wojska podoficer, zorganizowany w NSDAP, również ignorant drogowo-budowlany. Zachowywał się poprawnie wobec mnie i nawet stał się dość przychylny, zwłaszcza gdy na jego prośbę córce powiększyłem i ładnie wykreśliłem plan obozu Jugenddeutsch pod Królewcem, w którym córka Kranza była Lajterką – kierowniczką.

Wytrwałem z Kranzem od początku 1940 roku do 20 września 1943, tj. do mojej ucieczki „do lasu”, do partyzantki w dniu 22 września 1943 roku.

c.d.n.

